



► Kreacja Roberta Więckiewicza to bezspornie największy atut filmu

Fot. M. Makowski / M. Ciemna

Wałęsa. Film niespełnionych nadziei

Grzegorz Wolk

Najnowszy film Andrzeja Wajdy to jedna z najbardziej oczekiwanych w Polsce produkcji ostatnich lat. Jeszcze zanim na planie padł pierwszy klaps, opinia publiczna podzieliła się na krytyków i obrońców obrazu. Dla historyka najważniejsze pytanie brzmi: czy treść filmu jest zgodna z prawdą?

W jednym ze skeczów kabaretu Limo, parodiującego amerykańskie superprodukcje, pada zdanie: „Jak mawiał mój mistrz Andrzej Wajda: spoko, szkoły przyjdą!”. Pasuje ono idealnie do ostatniego filmu laureata Oscara. Jest to obraz o tyle istotny, że w czasach, gdy takie produkcje zastępują lekturę opracowań historycznych i podręczników, będzie on dla wielu osób ważnym źródłem wiedzy

o epoce PRL. Mam jednak wątpliwości, czy opowiada on prawdę o tamtych czasach.

Kiepski scenariusz i niecisłość historyczne

Największą wadą *Wałęsy. Człowieka z nadziei* jest scenariusz. Widać wyraźnie, że Janusz Głowacki nie miał pomysłu, jak ugryźć temat. O ile rozmowa prowadzona przez tytułowego bohatera z Orianą Fallaci jako wątek scalają-

cy obraz jest uzasadnionym zabiegiem, o tyle – gdy tego wątku brak – film staje się niespójny i nudny. Owszem, zostały przedstawione najważniejsze momenty życia Wałęsy, takie jak: internowanie, powrót do Gdańska, spotkanie z władzami konspiracyjnej Solidarności. Niektóre, tak jak scena przesłuchania w 1986 roku, robią duże wrażenie. W przypadku tej sceny jest ono tym większe, że sytuację rzetelnie odtworzono ze stenogramów. Są to jednak wyjątki. Zredukowanie do minimum „politycznej” otoczki zaszkodziło ciągłości scenariusza. Nie pokazano też, że Wałęsa od wprowadzenia stanu wojennego do roku 1989 pozostawał dla dużej części społeczeństwa symbolem niezłomności i cieszył się dużym poparciem. Zamiast tego Głowacki serwuje scenę, w której Wałęsę wiezionego do

ośrodka odosobnienia wykłina grupa wściekłych na niego chłopów.

W filmie nie brak scen, które możemy interpretować jako nawiązanie do współczesności. Przykładowo: pod koniec filmu nie sposób odpędzić od siebie myśli, że esbecy odgrażający się Wałęsę przemawiającemu w telewizji to bardzo czytelna aluzja do kłopotów lustracyjnych byłego prezydenta.

Są też sceny zupełnie nierealne: esbek kłękający przed telewizorem, gdy transmitowana jest pielgrzymka papieska, czy milicjantka karmiąca piersią dziecko Wałęsy. Pomijając fakt, że nie zdarzało się zamykanie w aresztach niemowląt, ta ostatnia scena jest wręcz komiczna. Podobnie jak ta, gdy helikopter – w domyśle sowiecki – celuje do internowanego w Arłamowie Wałęsy i pilnujący go esbecy obawiają się o jego życie.

Tymczasem na pokazanie niezłomności bohaterów podziemnej Solidarności nie wystarczyło już miejsca. Nie ma więc świata podziemnych drukarni, zakładowych kolporterów prasy solidarnościowej, manifestantów bitych przez ZOMO. Bunt kontestatorów systemu komunistycznego, który w filmie ma odzwierciedlenie w punkowych hitach ostatniej dekady PRL, poza muzyką prawie nie zaistniał.

Brak szerszego tła historycznego to kolejny mankament produkcji. Powie ktoś, że to film o Wałęsę, a nie o fenomenie ruchu społecznego, którym kierował. Nie sposób jednak pokazać fenomenowi lidera bez zakreślenia, w minimalnym chociażby stopniu, specyfiki jego środowiska. Czy na przykład istnieje film o Juliuszu Cezarze bez legionów rzymskich i konfliktów, którymi był targany triumwirat? *Wałęsa. Człowiek z nadziei* taki właśnie jest. Brak w nim obrazu Solidarności, czyli właśnie odpowiednika legionów rzymskich. Konflikt solidarnościowej elity został zredukowany do kilku sprzeczek i archiwalnych ujęć z tzw. kryzysu bydgoskiego. Wymaganie od duetu Wajda–Głowacki stworzenia filmowego podręcznika do dziejów Solidarności byłoby niepoważne. Z drugiej jednak strony twórcy filmu chyba zapomnieli, że

znaczna część widzów nie pamięta tych czasów, a przedstawiana na ekranie materia nie jest taka oczywista. Uogólnienia poszły zdecydowanie za daleko.

Ludzie bez nazwisk

Braki scenariusza dotyczą nie tylko zbiorowego portretu Solidarności. Fenomen polskiej opozycji przedsierpniowej został odmalowany w sposób niemalże karykaturalny. Już scena pokazująca głodujących członków Wolnych Związków Zawodowych i Wałęsę, który do nich przychodzi, jest komiczna. Wałęsa wychodzi na bufona, który niby „przyszedł porozmawiać”, ale ostatecznie wygłasza *ex cathedra* swoje zdanie i... wychodzi. Natomiast grupa wuzetutowców to może i idealisci, ale zupełnie niepoważni, bawiący się w drukowanie gazetek, których nikt nie czyta, organizujący protesty, o których nikt nie wie itd.

W filmie zaledwie jedna scena pokazuje fenomen WZZ jako szkoły politycznej dla robotników. To zbyt duże uproszczenie, nawet jak na film fabularny. Przecież WZZ były strukturami, dzięki którym spawacz, mechanik czy elektryk mógł się dowiedzieć, jakie prawa mu przysługują, co ma zrobić w razie szykan Służby Bezpieczeństwa czy jak napisać odwołanie od niekorzystnej dla niego decyzji administracyjnej kierownictwa zakładu pracy. Zamiast tego jest grupa bezimiennych szaleńców, którzy wyciągają Lecha z mieszkania akurat wtedy, gdy ten ogląda serial *Pogoda dla bogaczy*, i każą „robić strajk”. Ta scena jest skądinąd zagrana rewelacyjnie i w mistrzowski sposób oddaje życie codzienne w PRL, ale to zdecydowanie za mało na jej obronę.

W obrazie razi bezimiennosc bohaterów opozycji. Trzeba nie lada wiedzy historycznej, by wychwycić sceny z udziałem Bogdana Borusewicza, Andrzeja Gwiazdy czy Krzysztofa Wyszowskiego. Anonimowość dotyka absolutnie wszystkich poza Wałęsą, jego żoną i Henryką Krzywonos. Ta ostatnia, grana przez Dorotę Wellman, wyrasta na osobę nr 2, zarówno podczas strajku sierpniowego w Stoczni Gdańskiej, jak i w całym

ruchu Solidarności. W dodatku filmowa Krzywonos zna język angielski i dzięki tej umiejętności jest delegowana do rozmów z zagranicznymi dziennikarzami.

Świetni aktorzy

Wyraźne braki scenariusza ratuje bardzo dobra gra głównych bohaterów. Robert Więckiewicz jest rewelacyjnym Wałęsą. Możemy się zastanawiać, czy Wałęsa w latach siedemdziesiątych był taki sam, jakiego znamy z obecnych czasów, tzn. czy mówił w ten sam sposób, podobnie się zachowywał itp. To jednak problem drugorzędny. Kreacja Więckiewicza jest bezapelacyjnie, obok muzyki, największą zaletą filmu. Dzięki temu aktorowi widz naprawdę się nie nudzi, a często uśmiecha. Wałęsa grany przez Więckiewicza da się lubić, chociaż bywają momenty, kiedy jawi się jako bufon lub człowiek niegrzeszący inteligencją. Czasami odnosi się wrażenie, że to taki współczesny Nikodem Dyzma. Tyle że kochający żonę i dzieci, dbający o innych. Po prostu sympatyczniejszy.

Zresztą obraz domu rodzinnego Wałęsów to jeden z głównych wątków produkcji i zapewne świadoma decyzja reżysera, by uciec w ten nieco sielski świat kosztem pominięcia historii „politycznej” Lecha Wałęsy. Dzięki temu zabiegowi mamy mocno wyeksponowaną rolę Danuty Wałęsy. Gra ją Agnieszka Grochowska – i robi to dobrze. Pokazany przez nią obraz matki Polki troszczącej się o gromadkę dzieci, domowe ognisko, znoszącej ciągłą nieobecność męża w domu jest jednym z jaśniejszych wątków całego filmu. Momentami szkoda, że Andrzej Wajda nie zdecydował się na film opowiadający historię Lecha Wałęsy oczami jego żony. Przyznawał, że nosił się z tym pomysłem, ale ostatecznie go porzucił. Trudno to zrozumieć, zwłaszcza że w filmie historia „polityczna” jest zredukowana do minimum.

Życie rodzinne, mimo że pokazane w sposób sielankowy, odkrywa przed widzem niektóre aspekty funkcjonowania rodzin działaczy opozycji. Grochowska chowająca podczas rewizji ulotki do gotowanej zupy czy krzycząca na

przeszukujących mieszkanie esbeków odnajduje się w tej roli bardzo dobrze.

Muzyka

Wielkim plusem filmu jest rewelacyjna muzyka. Współgra w sposób wyjątkowy ze scenami oddającymi smutne, ale pełne buntu lata osiemdziesiąte. Raczej nie była to muzyka Lecha Wałęsy. Chociaż z drugiej strony były prezydent nieraz potrafił zaskakiwać. Może w którymś z wywiadów padnie pytanie, jakiej muzyki słuchał? Odpowiedzialny za ścieżkę dźwiękową Paweł Mykietyń wpadł na genialny w swojej prostocie pomysł. Nie siłił się na tworzenie klimatu lat osiemdziesiątych odtwarzaniem piosenek opozycji. W filmie nie usłyszymy kolejnej interpretacji *Janka Wiśniewskiego* czy piosenek Jacka Kaczmarskiego lub Jana Krzysztofa Kelusza. Zamiast tego dostaliśmy zestaw największych polskich gwiazd sceny alternatywnej z tamtego okresu: Tilt, Dezerter, Brygada Kryzys czy KSU.

Sprawa „Bolka”

Kwestia ukazania współpracy Lecha Wałęsy z SB od początku budziła największe emocje. Krytycy zarzucali Wajdzie, że ucieka od tematu niewygodnego dla głównego bohatera. Reżyser bronił się, że epizod z początku lat siedemdziesiątych nie ma żadnego wpływu na



Fot. M. Makowski / ITI Cinema

► Jak to możliwe, że prosty robotnik stanął na czele masowego ruchu społecznego, który zmienił świat? Na to pytanie film nie próbuje odpowiedzieć; na zdjęciu: Robert Więckiewicz i Andrzej Wajda

postawę Wałęsy w okresie Solidarności. Po obejrzeniu filmu można jedynie dodać, że wątek współpracy się w nim znalazł. Taki *modus vivendi* nie zadowolili zapewne ani krytyków, ani obrońców głównego bohatera. Broniąc reżysera i scenarzysty, przyznać trzeba, że nagrali sporo scen na ten temat. Problem w tym, że najważniejsza, czyli moment werbowania, jest nieprawdziwa.

W filmie główny bohater podpisuje tzw. lojalkę, czyli oświadczenie, że będzie przestrzegał prawa obowiązującego w PRL. Jest to duże nadużycie. „Lojalka” różniła się ogromnie od zobowiązania do współpracy, które najpewniej podpisał Wałęsa w grudniu 1970 roku. Wajda sam sobie przeczy, gdyż później umieszcza kilka scen, w których pokazuje, że podpisy złożone przez Wałęsę pociągały za sobą konsekwencje, a sam Wałęsa miał poczucie winy z tego powodu. Zwykła „lojalka” takich skutków nie powodowała. Reżyser nie zdecydował się też na pokazanie wprost, że był krótki okres w biografii Wałęsy, kiedy spotykał się z funkcjonariuszami SB i przekazywał informacje na temat kolegów z pracy.

Prawda czasów, prawda ekranu

Film od początku był oceniany przez pryzmat obecnego życia politycznego

i oczywiste było, że nie sposób od tego uciec. Obraz jest laurką wystawioną byłemu prezydentowi. Wajda zdecydował się zakończyć film w momencie pamiętnej przemowy Wałęsy w amerykańskim Kongresie. Tworzy to mylne wrażenie: Wałęsa był wspaniały, bo pozwolono mu przemówić w Kongresie USA! Lepszą kłamrą byłaby składana przez niego przysięga prezydencka. W końcu to wybór na prezydenta był ukoronowaniem kariery politycznej Lecha Wałęsy. Byłby to też jasny sygnał, kto wygrał konfrontację lat osiemdziesiątych. Po prostu doskonale zwieńczenie produkcji.

Obraz stanie się przez lata czymś na kształt filmowego odpowiednika lektury szkolnej. Niestety, produkcja, poza licznymi nieścisłościami i uproszczeniami historycznymi, pokazuje Wałęsę jednowymiarowo. Główny bohater to postać na tyle wyłamująca się w wszelkich schematach, że zasłużył na przedstawienie go w sposób bardziej skomplikowany. Film nie odpowiada również na elementarne w biografii politycznej Wałęsy pytanie: jak to się stało, że prosty robotnik z małej wsi został liderem kilkumilionowego ruchu społecznego, który zmienił historię świata? ❄️

Grzegorz Wolk – historyk, pracownik Biura Edukacji Publicznej IPN

